

Wybierając polski spośród trzech słowiańskich języków do uczenia się w dalekim 2008 roku jako studentka filologii rosyjskiej na Ukrainie, nie miałam nawet nadziei, że kiedyś przyjdzie mi rozmawiać w nim codziennie. A w 2012 roku, będąc już po dwóch krótkich pobytach w Polsce i na tamten moment mieszkając w Rosji, zastanawiałam się nad imionami dla swoich przyszłych dzieci i dla córki wymyśliłam imię Polina (a w skrócie Pola lub Polka), ale nie mogłam sobie wyobrazić, iż urodzi się ona w 2016 roku właśnie w kraju, którego nazwa brzmi tak podobnie do jej sprzed laty wymyślonego imienia.

Więc wszystko wskazuje na to, że zamieszkanie w Polsce sądzone mi było losem. Na dzień obecny mieszkam tu już 4 lata i 4 miesiące. W przeciągu tego czasu zdążyłam pośpiewać w chórze akademickim Uniwersytetu Mikołaja Kopernika jako alt, pouczestniczyć w miejscowych jarmarkach zdrowej żywności jako producent wegańskich słodczy, urodzić córkę, wykształcić się w nowym zawodzie, kupić mieszkanie, wygrać grant na realizację projektu na rzecz użytku publicznego i pomyślnie ten projekt zrealizować jako prowadząca warsztatów o śnie niemowląt, ustalić współpracę z jedną ze szkół rodzenia, w której prowadzę dla przyszłych rodziców podobne warsztaty, pomóc jednemu ukraińskiemu przedsiębiorcy porozumieć się z polskim producentem linii brykietujących, spotkać się z kryzysem 30-latka, zastanowić się nad kolejną zmianą zawodu...

Ale najważniejsza zmiana, którą zauważyłam w samej sobie po przeprowadzce do Polski, to jest wzrost poczucia bezpieczeństwa – fizycznego, emocjonalnego, finansowego. Nie, nie idealizuję tego kraju, wiem, że tu też są przestępczość, złośliwość i problemy ekonomiczne. Ale z jakiegoś nieznanego mi powodu najczęściej spotykam tu takich ludzi i trafiam w takie sytuacje, że czuję się zaopiekowana. Zdarza się, że nawet wieczorem nie zamykam drzwi kluczem, bo rano mąż wraca po nocnej zmianie i może za głośno otwierać, czym za wcześnie obudzi córkę, i wcale nie boję się. Może warto? Nie wiem. Ufam tutejszym ludziom i koniec.

Wiem, że nie zostanę bez kromki chleba, nawet jeśli będę tylko muzykować na toruńskiej starówce (co w końcu lubię robić) i śpiewać tylko po

rosyjsku. Wiem, że jeżeli będę potrzebowała pomocy, to bardzo szybko znajdę chętnych mi pomóc.

Właścicielka mieszkania, które wynajmowaliśmy przez 3 lata, tak martwiła się o to, czy autonome ogrzewanie 80 metrów kwadratowych w nieocieplonym domu nie będzie dla nas za drogie, że podjęła decyzję w okresie ogrzewania brać od nas o 200 PLN mniej za wynajem. Faktycznie wydała na nasze ogrzewanie z własnego portfelu.

Nasi nowi sąsiedzie w budynku, gdzie kilka miesięcy temu mieszkanie kupiliśmy, podejrzewani są o podrzucenie nam pod drzwi anonimowych prezentów dla córki na Dzień świętego Mikołaja i na Boże narodzenie. Oczywiście jesteśmy w stanie sami kupić jej słodycze, zabawki i odzież, ale byliśmy niesamowicie wzruszeni taką troską.

Ksiądz z prawosławnej cerkwi, do której udaliśmy się wkrótce po przyjeździe do Torunia, po liturgii poprosił nas zostać, żeby porozmawiać, poznać nas, opowiedzieć o mieście i o parafii. Chciał, żebyśmy poczuli się jak w domu. A jego żona regularnie częstuje nas chlebem własnego wypieku. A ich synowa została chrzestną matką naszej córki i moją przyjaciółką.

Pracowniczka urzędu skarbowego zauważyła drobną rozbieżność ceny, którą zapłaciliśmy za mieszkanie, z wyceną według jakiegoś swojego urzędniczego pouczenia, co powodowałoby należność dodatkowych opłat z naszej strony. Więc poprosiła mnie dobrze pomyśleć, czy nie ma na przykład jakichś pęknięć farby na ścianach czy płytek na podłodze, żeby ona mogła wpisać to i odpowiednio obniżyć cenę. I tak zrobiła, postawiła pieczęć i zapewniła mnie, iż sprawa jest zamknięta i możemy mieć święty spokój.

Szefowa mojego męża po zakupie tegoż naszego mieszkania oddała nam meble dziecięce swojej wyrosłej wnuczki. Oczywiście, ma swoje wady, jak każda szefowa. Ale kiedy mój mąż poważnie zachorował i nie miał poprawy już po kilku różnych lekarzach i pobytach w szpitalu, ona na własny koszt najęła rehabilitanta, który w 10 seansów doprowadził mojego małżonka do znacznego polepszenia.

Kiedy odnalazłam się w stanie depresyjnym (zamieszkanie w obcym kraju, jak piękny by nie był, ma też swoje minusy) i zdarzyło mi się napisać do przedszkola, gdzie uczęszcza moja córka, kilka SMSów o treściach, które zdradzały, że jestem w stanie niezrównoważonym, to przy najbliższej okazji podszedł do mnie absolutnie każdy z wychowawców i w wyrazach najcieplejszych, w sposób najłagodniejszy i wykazujący prawdziwą troskę i życzliwość, zapytał mnie o samopoczucie, powiedział mi, że postrzega naszą rodzinę z sympatią, i wyraził chęć wsparcia, o ile my tego potrzebujemy.

Kiedy zastanowiłam się nad powrotem do studiów doktoranckich, które dokładnie w połowie porzuciłam przed wyjazdem do Polski, to ogarnęła mnie niepewność. Przecież nie znam nikogo z wykładowców na UMK. Czy ktoś zechce być moim opiekunem naukowym? Kiedyż zaczęłam szukać informacji i znajomości, to w przeciągu dwóch tygodni skontaktowałam się w trzema profesorami, z których każdy pomógł mi w swoim zakresie i z których jeden jest już ze mną umówiony, że podejmie nade mną opiekę naukową, jeżeli zdecyduję się iść do Szkoły doktorskiej.

Te moje wspomnienia i wrażenia są teraz pomieszane, wymieniam je tu bez ładu, i jedyne, co je wszystkie łączy, – to moje ogromne poczucie wdzięczności. Naprawdę, ten kraj dużo mi dał.

Na początku potrzebowałam nieco czasu, żeby przyzwycząić się do niektórych odmienności kulturowych, które są w końcu dosyć drobne, i teraz nawet nie potrafię już je nazwać, na tyle się przyzwyczyłam i oswoiłam. Później przez parę lat miałam wrażenie, że nie mam żadnej bariery językowej czy kulturowej, że całkiem dobrze obcuje z Polakami i niczego mi w tym obcowaniu nie brakuje. A nawet czułam się nieco nieswojo przy podróży na Ukrainę po 3-letniej nieobecności tam. Od kilku miesięcy zauważyłam jednak, że brakuje wspólnego tła historycznego, estetycznego i kulturowego, że na przykład nie mogę spontanicznie zacytować jakąś frazę ze znanego rosyjskojęzycznego filmu czy książki, czy piosenki, bo sens takiego cytowania nie dojdzie do adresata. Tak że czuję się trochę jak Róża z powieści „Cudzoziemka” – i w „nowym” kraju nie do końca swoja, i w „starym” już też

nie. Widać, doszłam do jakiegoś kresu osvajania się z obcą kulturą i teraz jest czas przechodzić na nowy poziom.

Teraz marzę o udziale w konkursie „The Voice od Poland”. Z natury mam naprawdę ładną barwę głosu, mam też zdolności artystyczne. Tylko depresja zabiera mi wiarę w siebie. Ale chcę wierzyć, że Polska stanie się dla mnie naprawdę krajem spełnienia marzeń, że to, czego z różnych powodów nie odważyłam się spróbować na ojczyźnie, dokonam tu. Dziękuję!